ABC literacko-artystyczne

Stały dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego

Rok III. niedziela 10 czerwca 1934 r. Nr. 24

Tadeusz Dzięgielewski

Dusza narodu w architekturze

Otwarta obecnie wystawa współczesnej architektury francuskiej ogranicza się do fotografij projektów wykonanych. Nie zawiera efektownych rozwiązań w rodzaju projektu Le Corbusier'a zburzenia istniejącego Paryża i zabudowania go odnowa drapaczami. Niema modnych projektów funkcjonalnych „ma...... do mieszkania". Pozornie prace wystawione nie nasiąknęły jeszcze ideami modernizmu, który głosi, że odkrył funkcjonalizm i konstruktywizm. Odtąd ewolucja niema być celem, lecz funkcją planu budynku, a szkielet stalowy lub żelbetowy ma umożliwić najraracjonalniejsze formowanie tego planu.

Czy jednak słusznie wiek XX uważa funkcjonalizm i konstruktywizm za swoją własność? Przed pół wiekiem Violet le Duc nauczał, że gotyk dążył do uzależnienia formy budynku od planu. Odtąd, poprzez wszystkie style francuskie przewija się wielka dbałość o jasny i logiczny plan. Mniej uwagi poświęca się elewacji. Może dlatego renesansowe i barokowe elewacje włoskie odznaczały się większem bogactwem form, aniżeli fasady francuskie. Gotyk mógł tworzyć śmiałe konstrukcje, bo podzielił funkcje sklepienia na niosący szkielet żeber i lekkie wypełnienie tła. Oto funkcjonalizm i konstruktywizm, stosowany we Francji przed siedmioma wiekami!

Francuski gotyk, drogą genjalnej intuicji, i modernizm drogą naukowych dociekań, doszły do identycznych wniosków. Rozumna praktyczność, szczerość i logika tkwi w umysłowości francuskiej, podobnie jak stanowi podstawę modernizmu.

Sztuka francuska wypowiedziała się najwspanialej w gotyku, łącząc śmiałą technikę z głęboką wiarą. Z instynktowną rezerwą przyjęła barok, który lekceważył rozumowe prawa budowania. Przystosowała go do wymagań swego intelektu, tworząc racjonalistyczne style Ludwików. Po przez wszystkie epoki sztukę francuską cechuje umiar — wynik równowagi rozumu i uczucia w usposobieniu Francuza. Te cechy charakteryzują również obecną wystawę.

Architektura zmierza ku syntezie wiedzy i sztuki, uczucia i rozumu, wreszcie mody i tradycji. I jeśli dążenie osiągnięcia tej równowagi nazwiemy modernizmem, to, począwszy od stylu romańskiego, a kończąc na roku 1934, Francuzi są w każdej epoce modernistami. Wnętrza domów japońskich sprzed trzystu lat mają wszelkie cechy purytańskiego modernizmu. Tworzone w epoce rozszalałego baroku, odznaczają się dyskretnym umiarem i prostotą. Bo „barokowi" i „modernistyczni" Japończycy tak samo skłonni są do spokojnej zadumy i rozmyślania.



Architektura francuska: Port lotniczy w Lyonie (proj. arch. A. Chomel i P. Verrier).

Charakter sztuki modelują nie epoki, lecz narody. Klasyfikacja stylów, przeprowadzona w czasie, zbyt wiele nastręczałaby trudności historykom sztuki. Bo w ciągu kilku lat narodziło się wiele modernizmów biegunowo różnych. W r. 1925 odbyła się w Paryżu wystawa na temat: Art decoratif et architekture moderne. Ale modernista z r. 1928 odnosił się już do wystawowej „architecture moderne" jako do przebrzmiałego barbarzyństwa. Sowiety, często określane mianem awangardy modernizmu, przeszły nie mniej radykalną ewolucję pojęć. Dziesięć lat temu arch. Ginzburg pisał: „...nowoczesna architektura jest śmiertelnie chora, lecz nie pragniemy jej leczyć. Przeciwnie, wolimy ją zniszczyć i zastąpić nowemi, socjalistycznemi formami, pozbawionemi wewnętrznych sprzeczności, jako dziedzictwa kapitalizmu... Nas nie wiąże przeszłość"... Niedawno komisarz oświaty Łunaczarskij, charakteryzując pracę arch. Jofana, wyróżnioną pierwszą nagrodą w konkursie na Palac Sowietów, stwierdził: „projekt jest bardzo zadawalający; nie stroni od motywów antycznych (np. wielka kolumnada na parterze)".

Aby uniknąć podobnego chaosu pojęć, nazwijmy modernizmem nie nową architekturę, ale nowe problemy, które arcitektura ma rozwiązać.. Patrząc na problemy XX w. zbliska, przeraża nas ich wielkość. Ulegamy sugestji, że przeżywamy przełom, który wyłoni nowe życie, a z nim nową architekturę. Tymczasem każda miniona epoka stwarzała nowe problemy. Urbanistyka po kilkunastowiekowym bezruchu, zostaje w średniowieczu powołana do tworzenia miast. Renesans ofiarowuje człowiekowi komfort. Humanizm naszego wieku demokratyzuje komfort pod hasłem: słońce, powietrze, wygoda i używanie ruchu ma być dostępne dla wszystkich. Tak powstał uniwersalny problem mieszkaniowy XX wieku.

Od stu lat rośnie znaczenie maszyny. Rozwój techniki przybrał tak zawrotne tempo, że przerażony człowiek poczuł się jej niewolnikiem i począł czcić nowe bóstwo — maszynizm. Na jego ołtarzu złożył w ofierze sztukę. Odtąd styl modernizmu tworzą nie artyści, lecz technicy. Tak powstało przeświadczenie, że uniwersalne problemy rozwiąże tylko wszechpotężna, uniwersalna technika. Le Corbusier mówi: „W chwili obecnej należy szukać rowiązań, odpowiadających nauce — a ta jest nieśmiertelna — i odnoszących się do jednego przedmiotu, do uniwersalnego człowieka". Odtąd obowiązuje międzynarodowy kanon.

Le Corbusier głosi: „...niema spadzistych dachów, ich miejsce zajęły tarasy - ogrody". Odtąd buduje się kosztowne płaskie dachy nawet dla najbiedniejszej ludności, nawet tam, gdzie warunki atmosferyczne dowodzą ich szkodliwości. Dachy maskuje się podwyższonymi murami, tak jak w czasach secesji maskowano wnętrze „ozdobną" fasadą. A więc znów zjawia się bezmyślne kopjowanie wzorów, szablon i nieszczerość, czyli grzechy zarzucane klasycyzmowi. Daleko odeszliśmy od rozumowej definicji Perreta: „Styl nowoczesności, to celowa, świadoma, konsekwentna oszczędność przestrzeni i materjału budowlanego". Architekturę międzynarodową, podobnie, jak dawniej klasycyzm, opanowało doktrynerstwo. Wywołuje to niezadowolenie, szczególnie silne tam, gdzie poprzednio uniwersalne nowinki znajdowały szerszy posłuch, a więc w Niemczech i Sowietach.

Niedawno Hitler mówił: „Cobyście powiedzieli o architekcie, autorze gmachu teatralnego, któryby świadomie ignorował tysiącletni dorobek w tej dziedzinie? Byłby to architekt małego ducha". Jeszcze wyraźniej przemawia Goebbels: „...gdy sztuka traci kontakt z narodem, gdy triumfują hasła: sztuka dla sztuki, czy też sztuka dla wybranych, wtedy zwęża się zakres jej działalności, traci konsumentów, rezygnuje z posłannictwa, popada w nędzę. Sztuka staje się niepotrzebna".

W Sowietach biuletyn, zawierający urzędową opinję o pracach konkursowych na Pałac Sowietów, głosi: „...niektórzy rzucają się w krańcowość, w negację wszelkiej sztuki, w bezpłodny nihilizm, w wynajdywanie za wszelką cenę form „nowych" (wszystko jedno jakich, byle niepodobnych do starych) i sami, nie spostrzegając, wpadają, albo w fantastykę abstrakcyjną, albo w bezprzedmiotowy, w sobie zamknięty formalizm".



Architektura niemiecka: Dworzec główny w Stuttgarcie (proj. arch. Paul Bonatz).

Tak odbywa się likwidacja międzynarodowej architektury. Niestety, poza stosem manifestów i programów, nie pozostawia nam ona w spadku żadnej myśli twórczej.

Czy sztuka, oparta o tradycje kulturalne, dająca plastyczny wyraz dumie narodowej, może być równocześnie twórczą? Niechaj te wątpliwości rozwieje parę spostrzeżeń, które nasuwa obecna wystawa konserwatywnej architektury francuskiej. We Francji został odkryty żelazobeton, który uratował architekturę od uwiądu w okresie secesyjnej niemocy i bezmyślnego powtarzania minionych stylów; stał się ożywczym zastrzykiem dla zamierającej inicjatywy twórczej. Pierwszy dom żelbetowy zbudował przed trzydziestu laty jeden z wystawionych autorów: Perret. Plany urbanistyczne przypominają, że w okresie szalonego rozrostu przemysłu powstawała we Francji nowoczesna urbanistyka, która uratowała wiele miast od zaduszenia.

Warto zwrócić uwagę z jaką lekkością i wdziękiem i odrębnością rasową Pacon projektuje dworzec lotniczy — najbardziej kosmopolityczny temat — w okresie triumfu haseł międzynarodowości. Oglądamy zmartwychwstałe kolumienki, gzymsy, łuki, t. j. te formy architektury, które parę lat temu uznawano za śmieszne anachronizmy.

Jeśli ówczesny modernistyczny purytanizm form musiał przyjść jako dieta po niestrawnościach secesji, to z szacunkiem podziwiamy dojrzałość kultury Francji, dzięki której jej architektura, pierwsza spośród innych krajów, powróciła do pełnego zdrowia i uniknęła groźnych komplikacyj międzynarodowych haseł.

Stanisław Piasecki

Nowy romantyzm

Lata wojny liczyło się podwójnie. Ale lata powojenne liczyć chyba trzeba potrójnie, czy poczwórnie, w tak błyskawicznem tempie dokonują się w nas i wokół nas przemiany. Co wczoraj jeszcze wydawało się ważne, istotne i aktualne, dziś staje się nieważne, nieistotne i przebrzmiałe. Mkniemy poprzez przestrzeń pojęć z szybkością oszalamiającą.

Nowa rzeczowość! Jakież to jeszcze do niedawna było hasło popularne i, zdawało się, najbardziej twórcze w sztuce współczesnej. Pasjonowało wszystkich, podniecało do walk, pobudzało do strącania z piedestałów dętych wielkości. I pod tym względem odegrało rolę olbrzymią.

Trzeba było bowiem hasłem nawrotu do rzeczowości uprzątnąć grunt, zawalony smętnemi resztkami i okruchami minionej epoki. Trzeba było odrzucić precz i na bok to wszystko, co z minionej epoki przedwojennego, szczerego patosu młodopolskiego przedostało się poprzez mur graniczny wojny w formie nieznośnie zbanalizowanej. Trzeba było oczyścić plac do nowej budowy.

Ale rychło się okazało, że hasło nowej rzeczowości, jest w obecnych czasach tylko hasłem negatywnem. Burzyć przy jego pomocy można było doskonale. Więcej nawet — bo przygotować nowy budulec. Tylko już z wznoszeniem budowli szło znacznie gorzej.

Po śmiesznych, irytujących wykrętasach językowych epigonów młodopolszczyzny — z jakąż rozkoszą czytało się pierwsze utwory nowej prozy polskiej, celującej prostotą stylu i wysłowienia! Odetchnęło się poprostu głęboko od zmory berentowsko - kadenowskiego cudactwa. Tamto było już nie do zniesienia — to, co się rodziło w nowej prozie, działało orzeźwiająco. Literatura zaczęła nareszcie przemawiać do nas po prostu, po ludzku, po zwykłemu.

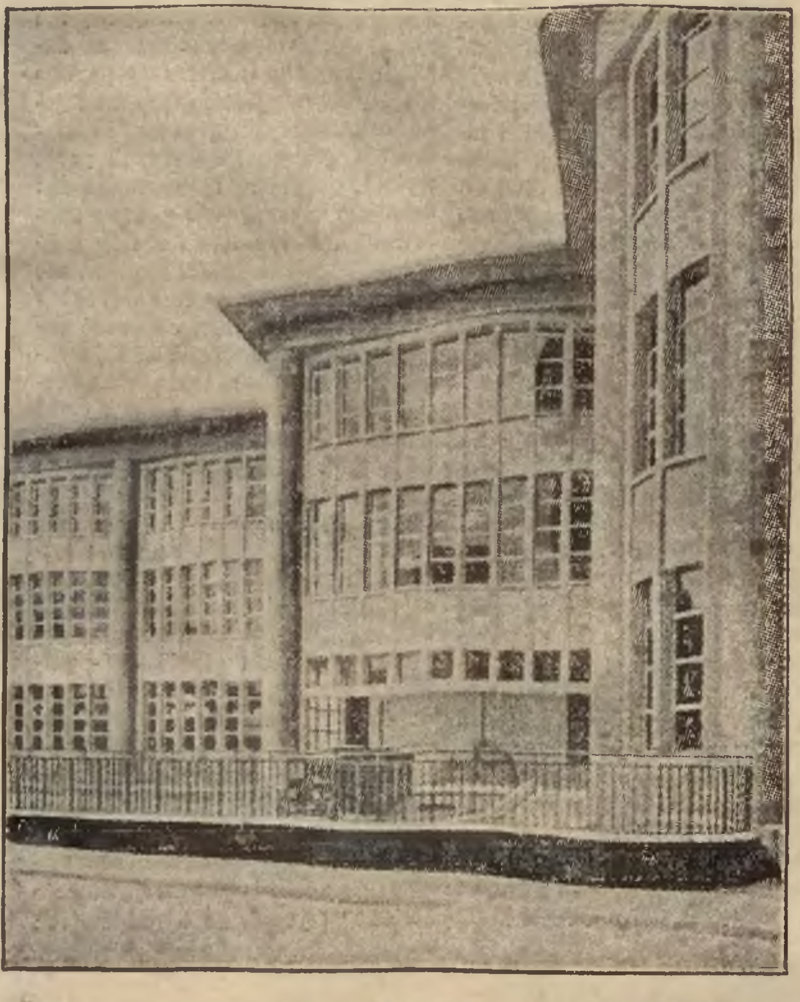
Ale po krótkim okresie zachwytu nad tą spokojną, równą, niemal klasycznie odmierzaną nową prozą, przyszło uczucie niedosytu. Czegoś nam w niej brak. Jeszcze żyją, i pożal się, Boże, piszą maruderzy młodopolszczyzny, ponad ich głowami przeszła fala nowej rzeczowości, a już chcielibyśmy płynąć dalej, odczuwamy potrzebę czegoś więcej, niż rzeczowości.

Bo t. zw. nowa rzeczowość była dzieckiem krótkiego i już dziś prawie niewiarygodnego okresu powojennej stabilizacji i prosperity. Przyszedł kryzys i uczynił fikcją marzenie o spokojnem, wygodnem, rzeczowem życiu. Hasło rzeczowości w czasach normalnych mogło stać się zaczynem jakiegoś neoklasycyzmu. W czasach gwałtownych przemian odegrać mogło jedynie rolę uprzątającą.

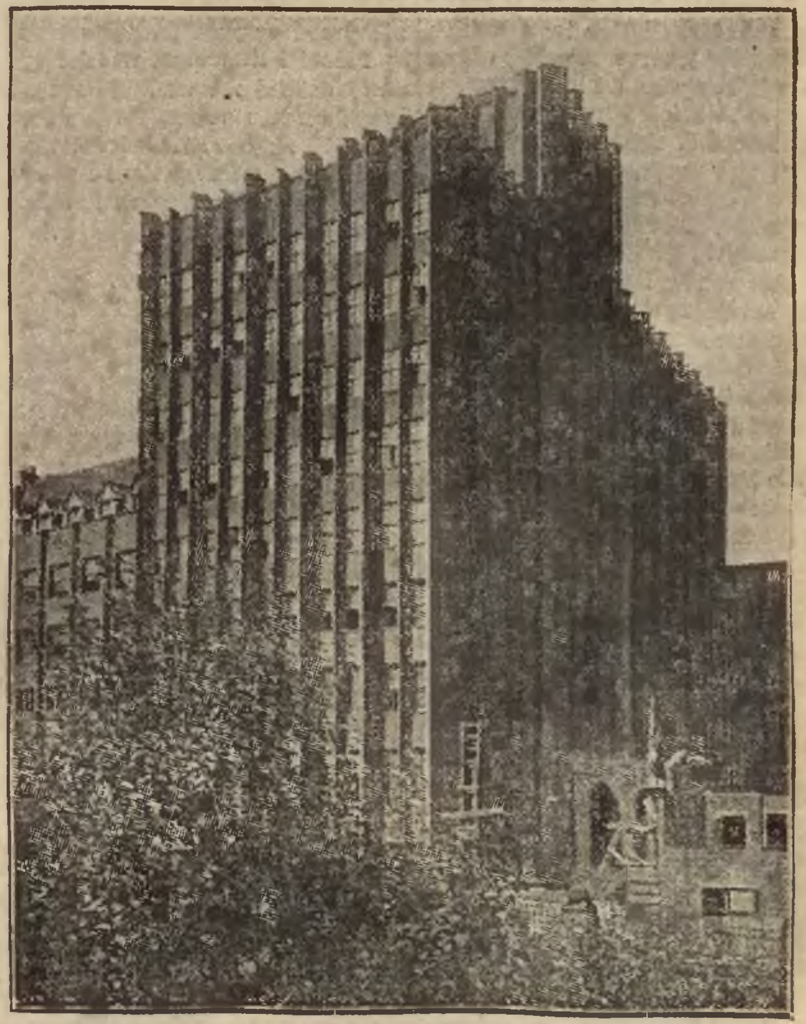
W pojęciu rzeczowości mieści się przedewszystkiem pierwiastek rozumowy, mózgowy, a dynamika czasów, które idą, staje się coraz bardziej dynamiką uczucia, poświęcenia, ofiary, bohaterstwa, pasji i walki. Idą czasy romantyczne, ba, już nadeszły. Żeby sobie z tego zdać sprawę, wystarczy wczuć się w rytm serc młodego pokolenia, idącego drugi raz zdobywać Polskę. Zdobywać Polskę od wewnątrz, jak jej granice zewnętrzne wywalczyło pokolenie, które już schodzi z placu.

Romantyzm walki, która rozpoczyna się w Polsce, musi się odbić i w sztuce, zabarwić nową treścią uczuciową proste, codzienne słowa, spiętrzyć dramatycznie zdania i okresy, tchnąć żar szczerego patosu w nową poezję i prozę.

O nowej rzeczowości słyszeć będziemy coraz mniej — o nowym romantyzmie coraz więcej.



Architektura francuska: Poczta w Reims (proj. arch. F. Le Coeur).



Architektura niemiecka: Dom biurowy w Düsseldorfie (proj. arch. Paul Bonatz).

W. Narusz

Głos z boku

Życie muzyczne ma swoje ramy. Zwą się one „sezonem“, który w Warszawie np. trwa od października do czerwca. (W wyjątkowych wypadkach, naturalnie dużej miary, może być przedłużony; przykładem wystawienie w Operze operetki...).

Wartość sezonu osądza się jego poziomem, poziom zaś — wydarzeniami. Nie będę w tej chwili robił rachunku, odłożę go do innego razu, przypomnę tylko o jednem z najdonioślejszych z wydarzeń: o wydaniu kwartalnika „M u z y k a P o l s k a“.

Już pierwszy numer dobitnie wskazywał na konieczność istnienia takiego pisma. Ukazanie całego ogromu kwestyj, wytknięcie już nie braków, ale poprostu dziwolągów, szereg wreszcie refleksyj był jednym tego dowodem.

Numer drugi jest próbą pozytywnego rozwiązania poruszonych zagadnień. Głos w formie odpowiedzi na ankietę zabrali: Mycielski, Ochlewski, Węsławski, Kulczycki, Szeligowski, Dymmek, Zalewski, Wiechowicz, Rutkowski, Palester, Kondracki, Łabuński.

Odrazu wysunęła się na pierwsze miejsce sprawa elity i masy, a jeśli chodzi o sposoby realizacji, żądanie planowej organizacji. Zupełnie te same problemy, które obecnie spotykamy gdzieindziej, zdawałoby się, że nawet daleko od sztuki. Czy mamy do czynienia już z pewnemi nawykami myślowemi, czy też muzyka jest tak ściśle związana z życiem? I jedno i drugie. A wszystko przecież bardzo charakterystyczne.

Podstawą dyskusji często bywa nieporozumienie. Nie należy mieszać jednego zagadnienia z drugiem. Nie można również, jak się to zdarza, jednego zdecydowanie przeciwstawiać drugiemu. zwłaszcza gdy się nietylko nie wykluczają, ale łączą z sobą najściślej. Mówić o elicie w oderwaniu od mas, to zanik samego pojęcia. Szukanie rozwiązań wyłącznie w masie to niezrozumienie istoty sprawy.

Bardzo nam leży wszystkim na sercu umuzykalnienie całych trzydziestu miljonów, niemniej cenimy wartość wybitnej jednostki twórczej. Zapewne, że podniesienie ogólnego poziomu da nam więcej takich jednostek. Będą one jednak zawsze wytworem nie liczby ale a t m o s f e r y. Tak się jakoś mało o niej mówiło w dyskusji, że aż dziwnie. A przecież to jest takie oczywiste i bardzo, bardzo ważne.

Jak ją wytworzyć? Gdzie jej szukać? Znajdziemy ją często w ośrodkach domu rodzinnego. Ilekroć zastanawiam się nad twórczością Szymanowskiego, zawsze wydaje mi się, że najwięcej zawdzięcza Tymoszówce. I chyba nie mylę się.

Powie ktoś, że tak dalece ingerencja planowego wysiłku sięgać nie może. Prawda, ale czy już poza progiem domowym znajdziemy zawsze przychylną atmosferę? Na pytanie odpowie pierwszy numer „Muzyki Polskiej“ słowami Maklakiewicza, Szeligowskiego, Olchy, Zalewskiego. Poprostu włosy dębem stają... Można się z czasem i otrzaskać i zmęczyć i nawet zgodzić z tem wszystkiem, ale to już jest tragiczne. Ile to razy słyszy się wołanie o wielką sztukę, ile razy skargi na brak atmosfery, na marnienie talentów, które same nie były zdolne jej wytworzyć a głową muru nie przebiły...

Słów doradzających planowe wytwarzanie elity trudno usłuchać, kryją bowiem niebezpieczeństwo mechanicznego, a więc nieistotnego spojrzenia. Dużo jest natomiast słuszności w nawoływaniu do zorganizowanej akcji, mającej na celu podnoszenie poziomu umuzykalnienia ogółu. Dlatego, że tu w grę wchodzi liczba. Wziąć się do pracy należy odrazu. Wyładować całą swoją niecierpliwość, by potem cierpliwie czekać na wyniki, które, jak słusznie zauważył Wiechowicz, dadzą się poznać dopiero po paru pokoleniach.

W jaki sposób pracować? Wzór sowiecki? Ależ nie! Zapychanie sal koncertowych to jeszcze nie masy. To w najlepszym razie dziesiątki tysięcy. Więcej zdziałał w Rosji śpiew cerkiewny, aniżeli zdziała zorganizowana akcja wszystkich kolektywów fabrycznych. Beethoven dla wszystkich! Pięknie — ale pamiętajmy, że w najlepszym razie dla s z e r s z e g o jedynie koła słuchaczy. A więc rozwiązywanie nie problemu m a s y, lecz w gruncie rzeczy — e l i t y. Elity odbiorców.

Zadanie jest w ręku nauczycieli, organistów. „Nie wszystkim chyba muzykom u nas wiadomem jest — pisze Rutkowski — że kościelna literatura muzyczna zalana w Polsce jest przez niemiecką przestarzałą tandetę muzyczną w rodzaju Zanglów, Molitorów, Hallerów, Hessów i t. p., że w szkołach naszych nauczycielstwo posługuje się bardzo nieudolnie opracowanemi śpiewnikami, gdyż wartościowych mamy niewiele, że chóry szkolne i chóry amatorskie niewielki mają wybór oryginalnych, muzycznie ciekawych i do poziomu tych chórów dostosowanych utworów“. Otwórzmy na to wreszcie oczy. Pole do roboty czeka. Może dalekie od wirtuozowsko - kabotyńskich nawet marzeń niejednego. Ale zato szczere i w pełni ideowe.

Aktualną jest bardzo kwestja m e c e n a t u. Czy będzie nim państwo? Słusznie zarzucono mu brak kompetencji, chociaż trudno nie przyznać i dużych możliwości (szkolnictwo). Przekazywanie jednak państwu całej inicjatywy jest pewnego rodzaju wykpieniem się z obowiązków. Zjawisko zresztą dość częste w dzisiejszych czasach, ułatwione jeszcze monopolistycznemi tendencjami samego państwa.

Stworzenie „ogólnopolskiego syndykatu centralizującego w sobie wszystkie sprawy muzyczne“, który powinien skoordynować w s z e l k ą działalność muzyczną, jak chce Palester, nie rozwiązuje kwestji. Posiada nadto w sobie niebezpieczeństwo etatyzacji i centralizacji, a przecież nie po tej linji iść musimy; zabijałaby ona bowiem indywidualność jednostki. Raczej „decentralizacja ruchu muzycznego — skierowanie go do ośrodków muzycznie zaniedbanych i niewyzyskanych miałoby niewątpliwie skutki dodatnie dla kultury ogólnej i muzycznej, jak również — umożliwiłoby wielu muzykom, w bezczynności dziś marnującym się, odpowiednie wyzyskanie ich talentów i umiejętności“ — jak pisze przy końcu swojej odpowiedzi Rutkowski.

Ogromu zagadnień nie rozwiąże jedna ankieta, chociażby szczerą i prawdziwą była przejętą troską. Nie wyczerpie jej tembardziej jeden artykuł i na to się wcale nie silę.

Do tej pory pozytywnym wysiłkom stał na przeszkodzie nieznośny, starczy k o n w e n a n s, obowiązujący w naszem życiu muzycznem, a raczej jego kwietyzmie. Z drugiej strony coraz większą rolę poczynał grać s n o b i z m.

Ankieta „Muzyki Polskiej“ jest wielką naradą walącą właśnie w ten zastarzały konwenans, poziom narady świadczy znowuż o zupełnym braku — snobizmu.

„Schylajmy czoło tylko przed artystyczną uczciwością“ mówi w swej odpowiedzi Mycielski.

Dlatego też można jakoś jaśniej spojrzeć w przyszłość.

Aleksander Sendlikowski

Oblicze nadchodzącej Rosji

— Oni nic nie tworzą.

— O, nie, tak było, był okres burzenia, teraz budują.

— Budują?...

— Tak. Słyszał pan o Magnitogorsku, zna pan chyba historję ich wypraw biegunowych, prób sięgania stratosfery?

— Pan mówi, jak entuzjasta Sowietów.

— Wcale nie. Nie mogę być entuzjastą, wiedząc, że kilo białego chleba kosztuje 7 zł., że panuje w Rosji nędza, panoszy się biurokracja, kartkowy system żywnościowy. Ale trzeba sięgać głębiej. Z ciężkiego niewątpliwie życia Rosji dzisiejszej powoli wyłania się inny obraz. Przez próbę całkowitego zniszczenia własnych wartości narodowych przeszła Rosja zwycięsko. Międzynarodówkę można śpiewać, ale międzynarodówki nie można zaprowadzić. Ludzie żyją, ludzie czują. I to jest główną przeszkodą dla ruchów kosmopolitycznych zapanowania nad narodami, wciągnięcia ich w jeden szablon, w jednolite jarzmo. Nie można ludziom kazać odczuwać w jednolity sposób.

— Więc pan sądzi, że Rosja sowiecka zmienia się i unaradawia?

— Ależ naturalnie! To co przeżywa Rosja dzisiejsza jest otrząsaniem się z rewolucji. Nowi ludzie wcale nie z krwawych dni październikowych budują Rosję. Trzeba myśleć realnie — oblicze narodowe Rosji uwidacznia się coraz bardziej, tylko obecnie jest to brutalne obnażanie duszy rosyjskiego narodu taką, jaką ona istotnie jest, a nie głupie i ordynarne naśladowanie Zachodu.

— Ale przecież to bolszewicy...

— Bolszewja i system komunistyczny w Rosji obecnie w swej dawnej formie nie istnieją. Komuna jest niewątpliwie formą przejściową, porewolucyjną. Poza ustrojem jest przecież jeszcze wyraz działalności narodu, nie wchodzącej w zakres administracyjny.

— Pan mówi o przejawach ducha.

— Tak. O literaturze, o sztuce sowieckiej. Przecież tam widać, że naród rosyjski żyje własnem swojem życiem.

Poszliśmy na wystawę fotografiki sowieckiej. Pokazałem mojemu towarzyszowi:

— Czy widzi pan tę kobietę stojącą na kolanie klęczącego mężczyzny? Jej ręce rozrzucone tną rysunek nieba i świecą na tle chmur jasną wypukłością mięśni. Jest to pewnie dziewczyna z kołchozu. Gest i ruchy, tło burżuazyjne — prawda? Niech pan spojrzy na prawo. Narciarka — typ zgoła nierewolucyjny. Takich zdjęć jest sporo i one mówią najmniej.

Mój towarzysz wpatrzony jest teraz w twarze robotników: młodych chłopców, dziewcząt i starców. Kapitalne zdjęcia. Żywe maski ludzi, całe ich dusze odsłonięte.

Nie widziałem nigdy zdjęć, które znamionują siłę. Zobaczyłem je w ostrym kontraście światła, w skurczu zaciśniętych pięści na tle nieba, dymu, chmur. 1917 rok. Krwawy rok. Zdjęcia wrzących mas. Tłum.

Ale to już przeszło, minęło. Teraz są ogromne piece hutnicze, maszyny, traktory, ogromne dymiące kominy. Praca i „wesołe czastuszki“, gimnastyka, grupy wesołych uśmiechających się dzieci. (Obrazki nędzy przezornie pominięto — nie spotkałem na wystawie ani jednego zdjęcia człowieka, umierającego z głodu). Dzieci mają pełne buzie i czyste ubranka (słowem jak „do fotografji“ w krajach burżuazyjnych). Dobre są portrety starców.

Ale prawdziwy wyraz ma tu praca i potężne naciągnięcie ramion w lecących chmurach samolotów, w przyciężkim marszu traktorów. Wspaniałe zestawienie maszyny i konia, zdegradowanej szkapy, uderza niebywałą plastyką.

— Gazeta! Gazeta!

Trzymają ją w rękach, czytają gorączkowo młodzi Jakuci. Ich usta pełne są wykrzykiwanych słów, a brwi surowo zmarszczone znaczą uwagę.

Galerja typów, przegląd wysiłków, wzlotów i upadków.

Widać pracę nad stworzeniem czegoś nowego, oryginalnego, własnego. Niewątpliwie wiele fotografij ujętych jest z dużym poczuciem smaku, z szacunkiem dla sztuki, może z kultem dla niej. Spotyka się rzeczy ładne i świeże, pełne swoistego wdzięku i wyrazu.

Gdy wychodzimy, mój towarzysz mówi:

— Wiesz, cała ta wystawa ma w sobie ducha rosyjskiego narodu. Niema w niej niczego z bolszewizmu, z komuny.

Czerwona, pięcioramienna gwiazda została tylko na czarnym żałobnym afiszu wystawy.

Tydzień książki

WEDŁUG DANYCH ZJEDNOCZONYCH ORGANIZACYJ KSIĘGARSKICH

ASENKO J.: Analiza bilansów. 8⁰. Str. 95. Warszawa, 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 6.

BYSTROŃ J. S.: Alger — Kraj i ludzie. Z 28 ilustr. 8⁰. Str. 243. Lwów, 1934. Książnica - Atlas. Zł. 4.80.

GASPARI P. Ks. KARDYNAŁ: Katechizm Katolicki. Z łacin. przetł. X. J. Korzonkiewicz. 8⁰. Str. XIX+487. Poznań, 1934. Księg. św. Wojciecha. Zł. 9.60.

GULCZYŃSKI E.: Sprawa Marcelego Szymańskiego — emisarjusza wyprawy Zaliwskiego 1833. 8⁰. Str. 52. Wilno, 1934. Księg. św. Wojciecha. Zł. 1.

HOENE WROŃSKI J.: Cele absolutne ludzkości. Przełożyła Z. Kozłowska. 8⁰. Str. 29. Warszawa, 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 1.

HORDYSZ W.: Dusza odchodząca. Poezje. 8⁰. Str. 136. Warszawa, 1934. Bibljoteka Polska. Zł. 3.

KOTARBIŃSKI T.: Czyn. 8⁰. Str. 32. Lwów, 1934. Książnica - Atlas. Zł. 0.60.

ŁUKASIEWICZ J.: O nauce. 8⁰. Str. 40. Lwów, 1934. Książnica - Atlas. Zł. 0.60.

MOSTOWICZ DOŁĘGA TADEUSZ: Świat pani Malinowskiej. Powieść. 8⁰. Str. 351. Warszawa, 1934. Czesław Kozłowski. Zł. 9.00.

Ordynacja podatkowa. Ustawa z d. 15 marca 1934. 8⁰. Str. 75. Lwów, 1934. Dr. M. Bodek. Zł. 0.80.

Bolesław Lutomski

Fatum

I.

Niedawno odbył się w Krakowie uroczysty jubileusz półwiekowej pracy naukowej i pisarskiej prof. Marjana Zdziechowskiego. Uznanie, zarówno w Wilnie, jak w Krakowie, było szczere, szerokie, zupełne. Autor tego szkicu pragnąłby jeszcze rzucić okiem na miniony okres historyczny, w którym najwięcej pracował, pisał i podróżował Zdziechowski, zwłaszcza zaś na jego stosunek do myśli i duchowości rosyjskiej, do filozofów, moralistów i artystów północnych, z którymi bardzo wiele obcował, w literaturze naszej jest też jednym z lepszych, nielicznych zresztą znawców tych stref dalekich, ku biegunowi pochylonych, tych wstrząśnień, katastrof i rewolucyj, które zamknęły dzieje carów.

Nie koniec na tem. Widzi wszędzie brutalną krzywdę i niesprawiedliwość, cierpienia Rosji bierze do serca tak blisko, jak własnego narodu.

Każda książka, każda praca prof. Zdziechowskiego była owocem nie tylko rozmyślań, wysiłków i studjów, nie tylko zwątpień i wahań, ale i cierpień. Nie wielu jest ludzi w świecie umysłowym, którzyby przeżyli i przetrwali taką udrękę sumienia, którzyby wszystkie palące zagadnienia, nie szczęścia i przewroty swego czasu odczuwali tak do dna duszy, reagowali na nie tak gorąco, jak Zdziechowski.

Urodzony na Białorusi w przeddzień wypadków 1863-go roku., kształcąc się, czy to w domu, czy w gimnazjum mińskiem, czy w uniwersytecie dorpackim i uniwersytetach rosyjskich, miał bezustannie przed oczyma tragedję i mękę Polski i Białorusi, widział triumfy dzikiej i brutalnej rusyfikacji, które zatruwały mu serce, patrzył na obumieranie naszej cywilizacji, na rozpadanie się w gruzy dzieła Jagiellonów i Mickiewicza, Komisji Edukacyjnej i wszechnicy wileńskiej.

To złowrogie fatum ściga go przez całe życie. Wprawdzie niezależność materjalna pozwoliła mu przenieść się jeszcze przed pięćdziesięciu laty do Krakowa, gdzie otrzymał katedrę i rozwijał działalność nietylko naukową i profesorską, ale uczynił jeszcze z domu swego ognisko życia umysłowo - towarzyskiego; zbierali się tam i ogrzewali goście i przybysze, wygnańcy i emigranci, których tak dużo bywało w Krakowie, ze wszystkich ziem i wszystkich krańców dawnej Rzeczypospolitej. Zakłada Klub Słowiański i miesięcznik „Świat słowiański“ z wyraźnym celem przeciwdziałania panslawizmowi rosyjskiemu, z celem tamowania tego zalewu cynizmu, fałszu i kłamstwa, które płynęły z Moskwy i Petersburga, zniepr awiały Pragę i Zagrzeb, Białogród i Sofię. Zdziechowski usiłuje wytworzyć w Krakowie środowisko, któreby dostarczyło zachodniej i południowej słowiańszczyznie nie tylko rzetelnych wiadomości o historji i nauce, sztuce i polityce polskiej i słowiańskiej, ale któreby oświetlało jeszcze drogi państwowego i narodowego odrodzenia, ostrzegało Słowian przed zgubnemi pokusami z północy, przed sieciami, które zarzucali satrapowie rosyjscy na młodszą brać z nad Elby, Dunaju i Bałkanów.

Zdziechowski był w tym kierunku nieustannie czynny, pełen inicjatywy, wrażliwości i dobrej woli. Zapraszał znakomitych cudzoziemców do Krakowa i do siebie na Białoruś, jeździł na kongresy naukowe do Lublany, Pragi, Raguzy i Rzymu, do Niemiec i Francji, pisał po polsku, rosyjsku, francusku i niemiecku, ażeby przypomnieć opinji publicznej w Europie, że naród polski żyje, że pozostał zawsze siłą twórczą śród sił świata, nadewszystko słowiańszczyzny, że należy mu się uwaga, sprawiedliwość i zadośćuczynienie.

Ale złowrogie widma nawiedzały go ciągle, zakłócały spokój ducha, krzyżowały plany i zamiary. Należał do tej kategorji ludzi, którzy przez swój temperament moralny i ustrój duchowy są skazani na dożywotnie udręczenia, którzy nigdy nie są w stanie oderwać się od swego tła, od losów narodu, w sprawach zaś wszystkich obchodzących , od losów ludzkości.

Oprócz tragedji narodowej, dwa fakty szczególnie jeszcze obarczały psychikę Zdziechowskiego, żłobiły bolesnemi rysami jego fizjognomję duchową, stawały przed nim w postaci długiego szeregu zagadnień.

Najpierw Zdziechowski jest umysłem nawskroś religijnym, w filozoficznem znaczeniu wyrazu, poszukującym Boga i prawdy wiecznej, ogarniętym tęsknotą do Absolutu. Zagadnienia metafizyczne nie opuszczają go nigdy i wołają o rozwiązanie, sumienie jego woła o moralny porządek świata, jako o konieczność, szczególnie zaś zasady, kierujące Kościołem Katolickim, jego ustrój, jego nauki i powaga, do naczelnych problematów ludzkości, — wszystko to napełniało naszego uczonego nieustanną troską, ponieważ pomyślność narodu i ludzkości zależy najpierw od jego myśli i treści religijnej.

Te troski i wątpliwości pochodzą ze wstrząśnień i przeobrażeń, którym podlega cała budowa moralna współczesnego świata, z politycznych, ale i umysłowych, tych wojen i rewolucyj nie tylko których sprawcą jest niespokojny, badawczy i zdobywczy intelekt nowoczesny, przerzucający się tylekroć od jednej do drugiej ostateczności, pochodzą one nareszcie, o ile chodzi o katolicyzm, z nowych kierunków, dyskusyj i komentarzy, które pod ogólnem mianem modernizmu powstawały już od początku stulecia w kołach uczonych i teologów katolickich, śród młodszych autorów i myślicieli religijnych, śród wielu wiernych, unoszonych prądami myśli krytycznej, ciekawością i wrażliwością.

Nad duszą Zdziechowskiego wisi oto jednak drugie fatum jeszcze w większym stopniu, w postaci polityki, literatury i filozofji teologji i poezji rosyjskiej.

Młodość jego upływała w czasach, gdy brutalny nacisk rusyfikacji przenikał do inteligencji i duszy, do tradycyj i obyczaju narodowego, gdy fala zniszczenia usiłowała zatopić całą łacińsko-polską cywilizację, gdy zwłaszcza na Litwie i Rusi, które były ściślejszą ojczyzną Zdziechowskiego, tępiono z wściekłą furją instytucje i pomniki, pojęcia i zabytki historyczne. Ale literatura i poezja, filozofja i teologja rosyjska ciągną umysły polskie w swoją istotną u jednych, lub zwodniczą u drugich głąb; męki i udręczenia duszy rosyjskiej, która wije się w przeciągu długich stuleci pod knutem carskiego despotyzmu, którą bierze w kleszcze żarłoczna biurokracja, lodowate zaś równiny wywierają decydujący wpływ na charakter człowieka, instytucyj i państwa; gdzie Dostojewski podaje tak fatalistyczny i oryginalny rodowód zbrodni, Tołstoj zaś zstępuje na dno sumienia, usiłując wskazać człowiekowi drogę jego naturalnego i chrześcijańskiego przeznaczenia; nuta wschodniej rozpaczy, tak znamienna w literaturze rosyjskiej. — wszystko to, cała psychologja, kontrasty i paradoksy, mistyczne i ciemne zagadnienia życia północnego, wywierały i wywierają po dziś dzień złowrogi wpływ na duszę polską, mnożyły i mnożą u nas zjawiska patologiczne, potworne powinowactwa duchowe i obyczajowe.

Zdziechowski zdawał sobie sprawę z takiego obrotu rzeczy i bolał nad tem. Lecz jednocześnie przez jego mózg i nerwy przepłynęło za wiele poglądów, prądów i zagadnień życia rosyjskiego, za wiele wsiąknął w siebie mistycznej teologji północnej, za długo pozostawał pod wpływem Włodzimierza Sołowjewa, Tołstoja, Czyczerina i całej posępnej plejady gwiazd na duchowym widnokręgu tych dalekich krajów. Te widma nawiedzały go, płoszyły sen z jego powiek, przeniknęły do najskrytszych komórek serca, i nasz myśliciel walcząc z niemi, obcował jednak chętnie, pociągany ciekawością, współczuciem z duchem rosyjskim; elementy psychologji północnej zaciążyły nad jego organizacją duchową. Ostatecznie wyszedł on z tych prób, wahań, bólów i wstrząśnień; śród rusyfikacyjnego potopu uratował on swoje cele i ideały religijne i wszechludzkie, ale nikt nie potrafi bezkarnie w ciągu długich lat stać na wyłomie, odpierać zamachy pijanego wściekłością wroga, oddychać zatrutą atmosferą, fałszem i nienawiścią. I tutaj właśnie jesteśmy u źródła największych udręczeń duchowych naszego pisarza. Musiał on staczać długą, mozolną walkę wewnętrzną z mistycyzmem i „absolutem“ rosyjskim, z potężnemi atrakcjami tej literatury, teologji i poezji. Walka była trudna, dopóki pierwiastki łacińsko - polskie i zachodnie nie stawiły czoła niebezpieczeństwu, dopóki badacz i krytyk nie znalazł się ostatecznie na drugim brzegu. To też gdy w r. 1914 publicysta Briaszczaninow zaprosił Zdziechowskiego do zabrania głosu w pierwszym zeszycie tygodnika „Nowoje Zwieno“ i prosił go o odpowiedź

Adolf Nowaczyński

Hulka-wegetarjanin

Nie tak to dawno, jak p. Hulka Laskowski, Paweł, zapytany w ankiecie W. L. nad czem teraz pracuje odpowiedział p e r l o n g u m e t l a t u m:

„Kończę powieść o Katullu, retuszuję „Ostatniego łotra", powieść o relatywizmie naszej cywilizacji, i szkicuję „Odpadki pana Pempucha". „Katull" — to eksperyment. Życiorysu jego niema, istnieją tylko wzmianki u historyków i niepełny zbiór jego poezyj. Ale w chwili, gdy otrzymał on togę białą, Pompejusz wypierał z Azji Lukulla, Krassus robił politykę finansową, a Cezar dążył do władzy przez romanse z licznemi wpływowemi damami. Katon zabawia ojczyznę na swój sposób, Cyceron na swój, K a t y l i n a ma jeszcze inne plany. Czasy niesłychanie ciekawe. Kobiety emancypują się całkowicie, młodzież bawi się staccato. Kurjony, Dolabelle, Antonjusze, Caeliusy, Klodjusze używają życia i trwonią olbrzymie majątki. Sallustjusz goni za kobietami, Attyk robi pieniądze, Rabirius przeprowadza olbrzymie operacje finansowe, Nepos pisze swoje nudne rozprawy. Katull tkwił w tem wszystkiem, kochał się w płochej Klodji, bawił z Memmiusem w Bitynji i umarł w trzydziestym roku życia. Na podstawie tych materjałów oraz wierszy Katulla odtwarzam jego życiorys w powieści „Warkocz Bereniki". „Ostatni łotr" — to tragedja powszechnej szczęśliwości. Kultura, która wyrosła z niedoli ludzkiej, wali się, i ludzie wołają do Boga o głód, wojny i morowe powietrze, a potem sami biorą się do niszczenia szczęśliwości, która niweczy cywilizację. Paradoks, relatywizm kulturalny. W „Odpadkach Pempucha" przedstawiam środowisko przeciętne. Pempuch nabył nowowynalezioną maszynę do oczyszczania odpadków bawełny, ale o odpadki trudno. Jest sprytny, krząta się, szuka i wytwarza dokoła siebie mnóstwo odpadków ludzkich. Pozatem mam zamiar napisać kilka szkiców: „Obrona Katyliny", „Ostatnie Republikanki" i t. p.

Wyliczmy raz jeszcze: „Ostatnie Republikanki", „Obrona Katyliny", „Odpadki Pempucha", „Ostatni łotr", powieść o Katullu, w której występowaliby Klodjusze, Krassus, Kurjon, Klodja, Kato, Cycero i także Katylina... Zaczem Katylina powtarza się dwa razy tak, że możnaby już podejrzewać jakąś obsesję Katyliny czy też „kompleks Katyliny"...

Nadto w polemice z niżej podpisanym i pognębionym zapowiedzianą została wielka praca o Nietschem, także jeszcze w roku bieżącym.

Tymczasem nic z tego wszystkiego. Obiecanki cacanki, a naiwnym radość i oczekiwania. Ani jedna obietnica niedotrzymana, ani „Warkocz Bereniki" ani „Pempuchy Odpadka" ani Katull, ani Katylina, ani studjum o Nietschem, ani powieść o relatywizmie naszej cywilizacji p. t. „Ostatni Łotr".

Natomiast rozdrobienie się na obiegowe liczmany, recenzje, reklamy, tłumaczenia, polemiki, kłótnie na f e c o n d i t e publicystyczną niekiedy świetną, często frapującą, zawsze interesującą. Gdzie wziąć do ręki jakikolwiek perjodyk (nie robiący bokami), tam wszędzie dziś Paweł z Żyrardowa; w „Tygodnikach", w „Wiadomościach", w „Zwiastunie Ewangelicznym", w „Pionie", w „Wolnomyślicielu Polskim". Niewybredność i pogarda dla zabobonów doszła u znakomitego humanitarysty i etyka, nawet do tego rekordu, że p. Hulka zaczął już drukować w Krakowskim Cloacu. Profitowanie tedy z konjunktury i haussy bez żadnych skrupułów. I żeby to jeszcze w tym Krakowskim Cloacu właśnie dał tę powieść obszerną o „relatywizmie naszej cywilizacji" (tytuł: „Ostatni Łotr") etyka i humanitarysty. Tymczasem nie olbrzymia jakaś powieść aktualnie lokalna o „Ostatnim Łotrze', lecz jakiś drobiazg, gra nie warta świeczki. Rozpisał się nam, rozpisał p. Hulka, jakby go poprostu roznosiło i spać mu nie dało. Jest każdej chwili o każdej sprawie gotów pisać do każdego pisma byle nie do opozycyjnych, gdzie po setnych konfiskatach bieda aż piszczy, ledwie koniec z początkiem wiążą, a chuda fara, że plebany poprostu zębami dzwonią. Do „Robotnika" ani do „Naprzodu", gdzie swego czasu debiutował, jużby nasz radykalista i religjolog nawet nie zajrzał. Z wydawcami bankrutującymi jużby się nie zadawał ani nie rozmawiał.

Co innego Geldhab Przeworski, dzisiejszy potentat, z którym nasz religjolog zawarł pakt wieczysty niczem Pan Twardowski. Niestety jednak takie pakty w dzisiejszych konjunkturach muszą wiązać i zobowiązywać. Miała być powieść p. t.: „Warkocz Bereniki", a tymczasem tego typu wydawcy ani warkoczów, ani Berenik znosić nie mogą. Miało być studjum o Nietschem, jako pogromcy Niemiec, ale rzecz okazała się już nieaktualną. Pozostała jeszcze obrona Catyliny i Catylina w powieści o Catullu. Tu pana Hulkę ubiegł już niemiecki emigrant dr. Botho „Laserstein", który w Paryżu świeżo wydał nakładem „Nouvelle Edition": „C i c e r o d e r N a r r u n d C a t i l i n a d e r R e v o l u t i o n ä r"... Zdaje się, że w obronie takiego właśnie Catyliny rewolucjonisty miał ochotę stanąć przeciw (antysemicie) Cyceronowi p. Hulka Laskowski, dziś po Boyu i Kadenie trzeci z rzędu Benjaminek całego piszącego i krytyczącego Izraela.

Zamiast tych dzieł obiecanych dostaliśmy natomiast „Mój Żyrardów" automonograficzny reportaż pełen antykapitalistycznych aktualjów. Nie możnaby twierdzić i spierać się, że wybór był nietrafny. Ta spowiedź dziecięcia wieku socjalistycznego ma istotnie strony doskonałe, bo nawet wzruszające. Interesujące jest także, jak ten potomek i syn czeskich majstrów tkackich doszedł dzięki pomocy „kapitałów" z egzystecji robotniczej do tej istotnie imponującej wszechwiedzy i rafinady intelektualnej. Mniej przekonywujący i mniej wzruszający jest natomiast ten wielki bój i wielka walka Hulki Laskowskiego z żyrardowskim królem bawełnianym i jego bandą. Francuz Girard bowiem tę twierdzę industrjalną powołał do życia a inny Francuz, zresztą wyjątkowy łotr, rekin i kłusownik Żyrardów dokończył i dobił. Boussaca przepędzono, sekwestr i nadzór rządowy przyszedł. Rozchodzi się teraz o to czy w nowej fazie i przy nowym regimie dola świata fizycznej pracy bardzo się tam poprawiła i czy po Inferno (jak to maluje p. Hulka) przyszło Eldorado.

W każdym jednak razie (choć tam różnie o tej poprawie w ludzie czy u ludu... ludzie mówią) znacznie się poprawiła sytuacja życiowa walczącego publicysty. Mieszka tam sobie „w jednym z takich luksusowych niemal domów fabrycznych" wedle słów Wittlina. Bibljotekę, to znaczy „skarbiec klerka" skolekcjonował sobie omal pono taką, jaką posiada Mirjam czy Askenazy, a o jakiej śnić nawet nie mogli tacy Łazarze jak nieżyjący Brzozowski lub z trudem żyjący St. Pienkowski.

Okazuje się tedy, że walka z Kościołem Katolickim, z tradycjonalizmem, z narodowością, z polskością, z „małomieszczaństwem", z „reakcją", o ile świadomie i systematycznie na benefis trzech miljonów żydów prowadzona, może się skalkulować. Raczej to „ułatwione życie" dzisiaj niż jakiekolwiek cierpiętnictwo lub męczeństwo. Ci rewolucjoniści i „obrońcy Katyliny" potrafią sobie jednak nawet w tych przeciężkich czasach, jako tako ustabilizować i unormować doczesną egzystencję. Na codzień są radykalni w miarę i w słowie pisanem (i deklamowanem), natomiast najradykalniejsi dopiero przy obliczaniu honorarjów i doborze pism punktualnie płacących. Już się niektórzy światoburcy socjalistyczni, ba nawet komunizujący ładnych ogródków dochrapali, a orderki też wiszą im na liberji z czerwonemi lampasami... A w Żyrardowie (l a c i t t a m o r t e), choć proletom nadal kuma Nędza doskwiera i dokucza (ta sama co gniecie i uciska reakcyjnych pismaków i wygów z endeckiego partyjnictwa), to ich orędownik, chorąży, trybun publicystyczny jednak sobie ten padoł płaczu jakoś chwali i jakoś z nim radę daje.

W ostatnich czasach p. Hulka Laskowski z Żyrardowa jednak przeszedł widocznie z oszczędności na wegetarjanizm.

Całkiem bowiem przypadkowo wydało się, że w komunizującym organie lewej grupy „Legjonu Młodych", to jest w „Państwie Pracy", współpracował jako spiritus rector stale choć kryjomie także i nasz niezmordowany p. Hulka Laskowski. Zaagitował go tam widocznie młody herszt „Bucharinistów" czy Leninistów, dziś już przepędzony Jacques Sperber. Chyba więc opętała naszego anarchoretę z Żyrardowa tasama a u r i s a c r a f a m e s która we wyższych regjonach na wiekszą skalę robi harpie i wampiry z takich groszorobów, jak Koehler, Boussac et tutti franti.

Pan Hulka pisywał potajemnie pod pseudonimem lirycznym: Jarosz...

Wydało się całkiem przypadkowo spowodu rozłamu i awantur w Legjonie. „Takie rzeczy możliwe są tylko w naszej atmosferze, gdzie anarchja moralna ma zapewnioną bezkarność" — pisał raz Paweł z Żyrardowa w przystępie apostolskiej werwy.

Pomimo tego wszystkiego jednak czekamy nadal niecierpliwie jeżeli już nie na „Warkocz Bereniki" świetnego pisarza to przynajmniej na jego „Obronę Katyliny". Dość już „Odpadków Pempucha".

Adam Ciesielski

stamtąd: noc

dzień dotoczył się przed różowy horyzont
wokół garnków kobiety ogromne wonne oborą
czuć wieczerzą i lepkością potu
wskroś skrzypu studziennych żórawi i wrót
idę ulicą pogarbionych strzech

za wsią —
ziemia paruje pienną namiętnością
wiatr ciało oblepia upałem
już oczy mam pełne błękitu

stąd popatrz:
złoto - czerwone biodra kościelnej wieżycy
oplątały stłamszone dymy
płynąc jak serce poprzez krzyż ku Bogu

bliżej
koło figury św Jana
zdrowe dziewczyny
i kąpiel w rześkiej rzeczce szemrzącej miłosne zaklęcia
ile ciał jędrnych przeszywanych jaskółek smugami

żab rechotanie uwikłane w trzcinach

na prawo
las sypie gradem świergotu
zaś obok
łąka pachnąca rosą i grzechem

świerszcze grają jakby na skrzypcach kwiatów
rżą niecierpliwie konie ujeżdżane na oklep
łaciate o mokrych oczach żują rudawy zachód

stylu noc godzi księżycem
w dzień co zapadł się w trawy i milczenie cieni

na pytanie: „Czego Polacy żądają od Rosji?" — Zdziechowski odpowiedział, że Polacy od Rosji niczego nie żądają, on zaś osobiście chciałby zapomnieć, „że jest Rosja i że są Rosjanie".

Początki wielkiej burzy dziejowej (sierpień 1914 r.) kazały znów Zdziechowskiemu spojrzeć wgłąb beznadziejnego przeciwieństwa polsko - rosyjskiego. Słynna odezwa Mikołaja Mikołajewicza, zwiastująca Polakom „zjednoczenie, swobodę wiary, języka i samorządu", obliczona zaś na naiwność i łatwowierność zarówno mas, jak i przywódców politycznych, wywołała ruch, pobudziła nadzieje lekkomyślnych. Zarzucano sieci, usiłowano pozyskać te wybitniejsze umysły w Polsce, którym przypisywano duchowe pokrewieństwo z umysłowością rosyjską, w których mylnie widziano dziwotwór, zwany „Polakami z rosyjską kulturą".

Ks. Trubeckoj, autor odezwy, zaprosił Zdziechowskiego do gabinetu Ministra Spraw Zagranicznych Sazonowa, w Petersburgu. Zdziechowski, jakkolwiek sceptycznie usposobiony wobec przechodzącego wszelką miarę naiwnego entuzjazmu licznych rodaków, był jednak zaskoczony dziwną otwartością rosyjskiego męża stanu, który odezwę traktował, jako zwykły w podobnych wypadkach manewr wojenny wodzów naczelnych, wydających do niczego nie obowiązujące manifesty i proklamacje do ludności. Każdy, kto zna trochę historję polityczną, wie, że odezw takich było bez liku. Rządy jednak nie przyjmowały za to odpowiedzialności. Za rewolucji francuskiej generałowie republikańscy szafowali z rozkazu Konwentu proklamacjami do uciśnionych ludów, wzywali do podniesienia broni przeciwko „tyranom", ale przy zawieraniu pokoju i spisywaniu traktatów zapominano o „wspaniałomyślnych" przyrzeczeniach. W r. 1866, po wypowiedzeniu wojny Austrji, pruska komenda naczelna wydała odezwę do ludów „monarchji" Habsburgów, że i dla nich uderzyła godzina wolności, że armia pruska niesie im tę wolność, że walczy o wyzwolenie uciśnionych. W następnym roku, gdy Koło Polskie w Sejmie Pruskim powołało się na ową odezwę i żądało wypełnienia traktatu wiedeńskiego, gwarantującego prawa narodu polskiego, kanclerz Bismark odpowiedział: „Posłowie poznańscy są w błędzie. Odezwa komendy naczelnej nie obowiązuje rządu królewskiego, proklamacje takie nie są aktem państwowym".

— Połączenie Poznańskiego z Królestwem nie odpowiadałoby zresztą naszym interesom — dodał także na końcu rozmowy Sazonow do Zdziechowskiego.

Wojna była nowym etapem w długiej wędrówce naszego profesora po urwiskach, załamach i przepaściach duszy rosyjskiej, po śnieżnych równinach północy, śród okropnych zbrodni i cierpień narodu, tak boleśnie dotkniętego fatalnym palcem przeznaczenia, skazanego na tępienie wszystkiego dokoła siebie, niszczącego z katowskim uporem ludy i narody, dopóki nie zniszczył samego siebie, dopóki nie ziściła się przepowiednia Goszczyńskiego, uczyniona w r. 1831, w kilka miesięcy po upadku powstania listopadowego: „Zaraza zbrodni strawi twoje plemię, Zginiesz pod własnych twoich jadów mocą".

To fatalne przeznaczenie chciało też, ażeby Polska, mająca tyle pogodnego i krotochwilnego usposobienia w swoim ustroju duchowym, tak bogata znów podczas męki porozbiorowej w natchnienia liryczne, płacząca łzami najdelikatniejszych uczuć w muzyce Chopin'a, zaklętych w najcudniejsze wizje w jego polonezach, marszach i balladach, ulatująca na wyżyny niebieskie w tragedjach i poematach Słowackiego, największego lunatyka w literaturze powszechnej, który powołał do życia najfantastyczniejsze dusze i udzielił słów rzeczom niewysłowionym; to fatalne przeznaczenie chciało, ażeby ta mężna, lekkomyślna, nie posiadająca miary pojęć i rzeczy Polska, krążąca między bohaterstwem a śmiesznością między najszczytniejszem poświęceniem, a najnikczemniejszą zdradą tylu swoich synów, ginąca co pokolenie za tę odległą i samolubną Europę, nie chcącą jej znać po r. 1863 cm. i wydającą ją bez skrupułu sumienia chuciom carskiej biurokracji, to przeznaczenie chciało, ażeby Polska, wbrew swoim świętym tradycjom, wbrew Lignicy i Grunwaldowi, Kochanowskiemu, Hozjuszowi, Unji Lubelskiej, Batoremu i Żółkiewskiemu, Komisji Edukacyjnej i Konstytucji majowej, wbrew epopei napoleońskiej, w której tak nieporoórównanem zajaśniała męstwem, wbrew wieczorowi listopadowemu i bitwie grochowskiej, wbrew Kołłątajowi, Bemowi i Mochnackiemu, zakaziła się się wszystkiemi epidemjami Wschodu, bakterje, mnożące się do nieskończoności w gnijącem cielsku potwora rosyjskiego przenikały i przenikają otwartemi porami do naszego organizmu narodowego, szerzą tam nieopisane spustoszenia.

Otóż Zdziechowski był nietylko spostrzegaczem tego olbrzymiego rozkładowego procesu. Wrażliwa jego natura nasiąkała, jak wspominaliśmy o tem, sympatycznemi pojęciami, właściwościami i sympatjami rosyjskiemi wtedy mianowicie, gdy olbrzymia rozlewność duszy wschodniej pochłaniała wszystko, co spotkała na swej drodze, gdy genjusz Tołstoja, teologiczne pojmowania świata i wszechświata Włodzimierza Sołowiewa, talet artystyczny Mereżkowskiego, etyczna koncepcja państwa i władzy Borysa Czyczerina, humanizm Trubeckich obejmowały go ze wszech stron, gdy znajdował się śród tylu krzyżujących się prądów, gdy go ciągnęły nieprzeparcie cierpienia i marzenia, siła słowa i swoisty mistycyzm pisarzy rosyjskich.

Dlatego też książki i studja, przeżycia i odczucia, przemiany duchowe i falowania wewnętrzne naszego uczonego zasługują na szczególną uwagę, bo stały na krańcach czasów, gdy rusyfikacja naszych wyobrażeń i napełniała i napełnia po dziś dzień ciężką troską lepszych i przenikliwszych.

Zdziechowski należy do tej małej garstki Polaków, którzy odczytali do dna ciemne zagadnienia literatury, mistyki i genjuszu rosyjskiego. Rzecz bardzo charakterystyczna, że im dłużej trwał ten krwawy najazd, im większe czynił zniszczenia w naszych wyobrażeniach i obyczajach, tem mniej posiadaliśmy głębszych znawców przedmiotu, umiejących opisać, zanalizować i dać pojęcie o grozie tego zjawiska. Generacja popowstaniowa nie miała już tak świetnych i przenikliwych znawców tej rzeczy, jak Mickiewicz i Goszczyński, widzących wszystko w długiej perspektywie historycznej, przepowiadających na stulecie nieomal obrót zdarzeń, ani tak wybornych znawców dyplomacji i administracji rosyjskiej, jak ks. Walerjan Kalinka, jak arcybiskup Feliński. Pokolenie, które wstąpiło na widownię po roku 1863-im nie miało już Zygmunta Krasińskiego, najgorętszego obok Skargi patrjoty, przenikającego do dna istotę rzeczy, widzącego wszystkie poczwary, pełzające ku nam od Uralu, Wołgi i Newy, przepowiadającego w „Niedokończonym Poemacie" pochód historji. „Od dnia śmierci sprawiedliwego, nie spocznie europejski świat, aż sam sprawiedliwym się stanie! Jak człowiek, któremu wydarto serce, tak będą wszystkie narody bez tego narodu! Żyją, a wiecznie im życia brak. Są i nie są, bo nie mogą według myśli Bożej być. I lud każden w rozpaczy będzie, i król każden w przerażeniu i trząść się musi ziemia pod krokami ich, a oni zataczają się po niej, pijani sumienia wyrzutem!"

Włodzimierz Spasowicz był wybornym znawcą prawa, administracji i literatury rosyjskiej, ale oportunizm polityczny, wymuszony fatalnemi wypadkami i okolicznościami, nie pozwalał mu rozwinąć w pełni swego krytycyzmu i jasnowidzenia, wyrość do wielkiego stylu.

Intelektowi polskiemu zasłoniły później światło mgły północne; postradał on w znacznym stopniu odporność względem wzmagających się epidemij, postradał wzrok do zmierzenia niebezpieczeństw, grożących stamtąd istocie i naszej idei historycznej.

Książki i studja Zdziechowskiego o filozofach, poetach, literaturze rosyjskiej na szczególną zasługują uwagę, ponieważ autor streścił w nich swą wiedzę, i doświadczenie, streścił długoletnią i moralną obserwację. W wydanem przed kilkunastu laty wielkiem dziele „Pesymizm i romantyzm a podstawy chrześcijaństwa" wyłożył on tak gruntownie panujące ideje religijne i moralne, że rozległa ta praca należy do celniejszych w naszej literaturze filozoficznej; w doskonałej książce „Europa, Rosja, Azja" (Wilno, 1923), której autora poznajemy, jako bystrego pisarza filozoficzno - politycznego, roztrząsającego przed nami zagadnienia moralno państwowe, które sprowadziły krwawą, ogromną burzę 1914 r. i wyłoniły cały szereg tragicznych splotów, wikłających się oto bez końca; w „Wpływach" rojemy jego wieloletnie przeżycia, udręczenia i spostrzeżenia, książka ta jest też dobrym przewodnikiem śród ciemnego labiryntu duchowości rosyjskiej, autor zna z pracowitej i bolesnej obserwacji wszystkie choroby i cierpienia tych stref odległych, które stanęły przed światem i napełniły go przerażeniem.

(Dok. nastąpi)

Zdzisław Broncel

Fotografje Edwarda Fikusa

Malarz z malajskiego archipelagu

Rozmowa z polskim malarzem z Jawy

Dla świata, dla Paryża, dla Amsterdamu, dla Indyj holenderskich jest to Mystkowsky, albo jeszcze łatwiej — Myskowsky. Ale psiakrew, jest Czesław! Bagatela, imię wcale nie międzynarodowe, niedość — ten Czesław Mystkowski, w białym hełmie korkowym, w białym stroju, w chacie z bambusu — jest kresowiakiem! Pomyśleć, 6 lat siedział na końcu świata, w głębi Jawy, 100 km. od miasta i teraz gotów jeszcze zaciągać kresowym djalektem. Gotów po kresowemu wymawiać słowa malajskie, jawajskie, sundanezkie... Stop. Zadużo byłoby języków. Wystarczy wspomnieć, że żona Mystkowskiego mówi 6-ma językami.



Pola ryżowe na Jawie.

Bardzo to zresztą szczęśliwie, bo może porozumieć się z mężem. Dla informacji: żona Czesława Mystkowskiego jest kreolką, t. zn. mieszanej krwi holenderskiej i jawajskiej. Ten kresowiak: nietylko po modele do swych obrazów pojechał na Jawę, ale i po żonę także. Ożenił się i wrócił. Po 9 latach, już nawet potykając się w polskiej rozmowie, po trzech latach Paryża, sześciu archipelagu malajskiego zjechał na ulicę Dobrą, do niewykończonego nowoczesnego domu. Niby dwa pokoje. Klitki, kliteczki, trzy takie mieszkania stanęłyby w staroświeckim salonie.

Jeszcze się nie rozpakował. Płaskie pudła z akwarelami podpierają ściany, fijoletowe i czerwone karafy kamienne stoją na podłodze, koło kufrów z nalepką „Marseille" i napisami holenderskiego „Lloydu" roztaszczyły się patefony. Jawajskie płyty na podłodze. Patefonów conajmniej dwa.

Drugi pokój wygląda podobnie. Kiedy mistrz Mystkowski chce znaleźć coś ciekawego i pokazać gościom, to musi myszkować po ziemi. No, w każdym razie jakoś mieszka. Narzeka, ale mieszka. Narzeka na szarość, na ołowiane niebo, na brudne domy, na blade twarze ludzi, na czarniawy pył, na bruki (arterje takie, jak ul. Dobra i ul. Gęsta!), na klimat. Pięć razy już się zaziębił. I oczywiście — tradycyjna litanja na temat urzędu celnego.

Tym razem urząd celny postąpił nawet dowcipnie. Obrazy, a i owszem, prosimy, prosimy, dorobek artystyczny, każdy rozumie. Lecz pan szanowny pozwoli, na te rameczki nałożymy maleńkie cło...

Rezultat: Co było oprawne, siedzi na granicy. Olejne zostały tam wszystkie. Tylko akwarele, malowane na kartonach przyjechały razem z Mystkowskim.

— To mój paszport — mówi Mystkowski, wskazując na pudło. — Mój bilet wizytowy, moja legitymacja. Tem muszę sobie otworzyć drogę do Warszawy.

— Kiedy pan myśli wystawiać?

— Na jesieni, teraz niema sezonu na wystawy.

— Czy pan wystawiał te obrazy?

— I nieraz (pyknął z fajeczki) — w Batawji w tamtejszem Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych, w takiej jawajskiej „Zachęcie", w Paryżu, w Amsterdamie — w muzeum kolonjalnem.

— To w Batawji są wystawy?

— I jeszcze jakie! Batawja, to wogóle europejskie miasto. Co za kultura, poprostu komfort. Są taksówki, zupełnie tak, jak w Paryżu. Jest wspaniałe muzeum, jest radjo, są kina, sala teatralna. Filmy nawet wpierw Ameryka daje na Malaje i na Filipiny, niż do Europy. Naprzykład, może pan widział, jest taki film podług Wellsa „Niewidzialny człowiek"...

— Byłem na nim.

— No, to ja go widziałem w kinie na Jawie, na 4 miesiące nim go sprowadzono do Warszawy.

— Więc Batawja, to chyba duże miasto?

— Ogromne!

— Miljon mieszkańców? Takie, jak Warszawa?

— Ach, chyba więcej, niż miljon (tu było lekkie przeholowanie, gdyż Batawja liczy 200.000 m.). Zresztą dokładnie cyfr nie pamiętam. Oczywiście Europejczycy stanowią tylko drobną część. W Batawji, która leży nad morzem i jest miastem portowem i stolicą, mieszkają urzędnicy i właściciele plantacji. I jedni i drudzy mają się bardzo dobrze. Ludzie jadą na Jawę po to, żeby zrobić pieniądze. Urzędnik holenderski zarabia 700 guldenów miesięcznie. Mieszkanie komfortowe, nowoczesne, ma bardzo tanio. Żywność — to jest ryż i owoce, kosztuje tyle, co i nic. Może więc sobie pozwolić na auto i służbę. Ma swoją kucharkę, swoją „babu" — pokojówkę, szofera, służącego. Ci ludzie kupowali u mnie obrazy. Gdy wyrobiłem sobie nazwisko, wiodło mi się bardzo dobrze. Na Jawie, nawet w Batawji, niema zawodowych malarzy. Są to przeważnie amatorzy, więc dla malarza europejskiego, wykształconego, jest tam dobre miejsce. Znajdzie nabywców na swoje prace. Magnaci, plantatorzy, snoby, dużo kupują, i porządnie płacą. A kto wyjeżdża z Jawy do Europy, także chce zabrać coś na pamiątkę.

— Czy Europejczycy często jeżdżą na stary ląd?

— Niech pan się spyta inaczej. Jak długo siedzą na Jawie? Europejczykowi trudno przyzwyczaić się do klimatu. Urzędnik po dwóch latach pracy dostaje sześciomiesięczny urlop i przedsiębiorstwo opłaca za niego okręt do ojczyzny. Klimat na Jawie nie jest wcale najgorszy. Afryka, o, to dopiero paskudny klimat. Na Jawie w południe coprawda upał jest nie do zniesienia, woda gotuje się na słońcu. Także jest wielka różnica między temperaturą w słońcu i w cieniu. W cieniu znacznie jest chłodniej.



Cz. Mystkowski. Jawajka

— Chłodniej? Np. ile stopni?

— Jakieś 40 st. Celsjusza. W mieszkaniu zaś, przy 20 st., mamy chłód zupełny. Doskonale można odpoczywać, pijąc whisky and soda z lodem W nocy, a właściwie nad ranem trochę się ochładza i przed świtem trzeba się przykryć prześcieradłem.

— Więc śpi się bez przykrycia...

— Dosłownie. Nago. Zupełnie nago. Chodzi się w dzień w hełmie, w białem ubraniu. Tubylcy ubierają się tylko w sarongi, tkaniny batikowane, które owijają sobie wkoło bioder. Są to prześliczne rzeczy, dziś już coraz rzadsze, bo fabryki sprzedają drukowany sarong. Europejczycy i tubylcy żywią się tak samo. Jak kto chce, w hotelu może mieć pierwszorzędną kuchnię europejską, ale ci, co mieszkają stale, zawsze przechodzą na tamtejsze pożywienie. Jest zdrowe i przystosowane do klimatu.

— Więc jak wyglądał, powiedzmy, pański obiad?

— Ryż. Przez cały dzień ryż. Jawa jest pokryta polami ryżowemi. Leżą one w tarasach, jedno nad drugiem, tak, żeby woda spływała z wyższych na niższe. Przywożą mąkę na Jawę i wypiekają chleb, ale chleb nie jest bardzo smaczny. Więc większość Europejczyków odżywia się na wzór tubylców. Na obiad jemy duży talerz ryżu, a do tego moc maleńkich suchych przystawek. Suche mięso, suche ryby i tak dalej. Popija się mlekiem kokosowem albo napojem, zrobionym z płynu, który jest w jeszcze innym gatunku orzechów. No, i oczywiście kosze owoców.

— Ciągle pan mówi „tubylcy", a właściwie jakiej oni są rasy, czy narodowości?

— Na Jawie jest wielka mieszanina. Przedewszystkiem trzeba powiedzieć, że Jawa nie jest wyspą dzikusów. Była kiedyś państwem o wysokiej kulturze, pozostającem w bliskich stosunkach z Chinami, z Japonją, z Indjami. W IX w. Hindusi podbili Jawę. Jawa przyjęła buddaizm i tak trwało aż do nowego podboju mahometańskiego. Dziś Jawa jest mahometańska, ale po okresie hinduskim pozostały wspaniałe pomniki. Największy to — „Wielki Budda", świątynia „Burubudur", położona w górach, istny olbrzym, wznoszący się rzeźbionemi tarasami. Ściany drobnych krużganków pokryte są płaskorzeźbami, przedstawiającemi sceny z życia Buddy. Wyższe krużganki są łańcuchem nisz, budowanych w kształcie ołtarza. W każdej siedzi Budda, raz z rękami opuszczonemi jako mędrzec wyrzekający się świata, raz jako nauczyciel z ręką wzniesioną do góry. Jeszcze wyżej zaczynają się galerje z płaskorzeźbami, gdzie posągi Buddy są nakryte dagobami w kształcie przejrzystych dzwonów, które mają symbolizować dokonujące się na najwyższym stopniu przejście od świata zmysłowego do nadzmysłowego.



Cz. Mystkowski. Tygrys.

Teraz Mystkowski odłożył fajkę, wstał i zaczął przewracać w swoich papierach. Wyciągnął stamtąd album z fotografjami, wetknął weń długi, suchy nos, zagestykulował i z triumfem wyciągnął zdjęcie Burubudur.

— Burubudur stoi w głębi kraju. W miastach portowych, na pobrzeżu — czy to tak się mówi po polsku? — mieszkają Malajczycy. Mówią po malajsku i z tubylcem ze środka Jawy malajskim językiem nie dogadają się.

— Czy pan umie po malajsku?

— Doskonale. Nauczyłem się w parę miesięcy. Malajski jest językiem bardzo prostym, prawie bez gramatyki. Niema liczby mnogiej, ani czasu przeszłego, czy przyszłego.

— No, dobrze, ale jak w takim razie wyrazić różnicę między „ja" i „my"?

— To się mówi w ten sposób: „ja widzę", a teraz liczba mnoga „ja z tym i tym i tym widzę", albo trzecia osoba „on i on i on widzi". Czas przeszły będzie wyglądał w ten sposób, że powiem: „ja dawniej widzę", a przyszły „ja mogę widzieć". Za to jawajski jest bardzo trudny, jako język o starej kulturze, spokrewniony z hinduskim. Po jawajsku umiem nie wiele. Jest jeszcze trzeci język: sundanezki. Są trzy języki tak, jak trzy zasadnicze odrębne grupy ludności. Jak mówiłem — brzeg, to Malaje, środek — to czysta rasa jawajska, piękne głowy, szlachetne twarze, wspaniałe ciała. A w górach żyją „oran sunda", jak ich nazywają po malajsku, t. zn. ludzie sundajscy. Ci Sundanczi mieszkają na zboczach gór w chatkach bambusowych, zwanych „kampum". Ich gniazda zielono - żółte, ukryte w gąszczu bananów, w noc księżycową nad rzeką — jest to niezapomniany widok dla malarza. Niech pan wierzy, potrafiłem cały dzień przesiedzieć nad wodą, patrząc na kąpiących się Jawańczyków. Toczone ramiona, czysta linja pleców, zaokrąglone piersi, wysmukłe nogi, czekoladowy odcień skóry, ciemno - granatowe oczy!

Mystkowski znów nabił fajkę, zaciągnął się dymem, spojrzał na domy Powiśla i zawołał: — Panie, gdzie ja tu dostanę takich modelów i modelki!

— Istotnie o czekoladową urodę w Warszawie byłoby trudno.

Machnął ręką. — Głupstwo, nie o to idzie, idzie o budowę. O linję, bo widzi pan, co ja mogę malować? Niebo, przyrodę, las, góry, i jeszcze akt. Bo to też przyroda. A brudnych, szarych domów nie cierpię. A na martwą naturę szkoda pędzla. Jak malarz potrafi zrobić doskonały obraz ze śledzia i widelca, to powinien sięgać po bogatsze kształty. Jechać w „Tatry, czy do lasu, czy machnąć się na Borneo, albo Celebes, a nie odstawiać jakieś sztuczki ze stołowemi nogami.

— Celebes, to koło Jawy. Pan był na Celebes?

— Nie. Jeździłem tylko na drobne wyspy i na Sumatrę. Pozatem siedziałem na Jawie, gdyż tam jest najkulturalniejsze środowisko. To znaczy najwięcej snobów europejskich, kupujących obrazy. Raz, gdy pewnej Holenderce, która chciała kupić obraz na pamiątkę pobytu w kolonjach, zaofiarowałem swoją ulubioną pracę, portret dziewczyny jawajskiej, dama się obraziła i powiedziała: Pan chce żebym w swoim salonie trzymała portret mojej „babu" (służąca). Pech akurat, że ta cudna dziewczyna była jej pokojówką.

— Czy pan mieszkał w Batawji, wśród kolonji europejskiej?

— Myślę sobie, że nie. Mieszkałem o 100 km. od Batawji, w górach, między Sundanczami. Zrobiłem dom z bambusu i tam malowałem. Zapuszczałem się w głąb Jawy, byłem nawet w Djokji, rezydencji sułtana i ośrodku dawnych zwyczajów. Uzyskałem wstęp do pałacu. Studjowałem kulturę jawajską. Przeżyłem tam kilka najpiękniejszych chwil w życiu. Byłem mianowicie na koncercie w domu sułtana, poznałem najciekawszą muzykę, jaką kiedykolwiek słyszałem. Jest ona niemal samą przyrodą. Brzmi tak, jak szumi dżungla. Nazywa się „gamelan".



Pastwiska na Jawie.

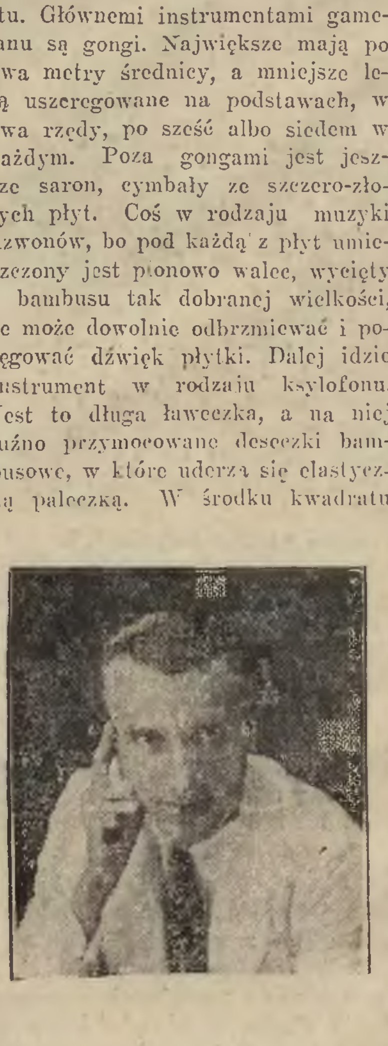
— Wywiera ogromne wrażenie, tylko trzeba ją słyszeć w wykonaniu tradycyjnej orkiestry, w domu jakiegoś arystokraty jawajskiego. Gamelan sułtański posiada instrumenty z czystego złota i właściwie dopiero taki „trebang" (zespół muzyczny) może dać pojęcie o tej muzyce.

— Niechże pan o tem opowie.

Mystkowski wyciągnął się na krześle, przełożył rękę pod kolanem, jak przy grze w „berka - bociana", popatrzył na swoją akwarelę: leżącego tygrysa, podłubał w zębach zagasłą fajką i wyrecytował cały słownik jawajski.

— —Paku Buwono, czyli Gwóźdź Ziemi miał przybyć na koncert gamelan, połączony z próbą tańca symbolicznego wajang wong. Sala tańców jest obszernym dziedzińcem, wysadzonym płytami śnieżnego marmuru, osłonięta stropem, wspartym na sześciu kolumnach.

Naprzeciwko wejścia na rzeźbionych podstawach ustawiono instrumenty, a przed każdym na macie siadł muzykant. Było ich trzydziestu. Głównemi instrumentami gamelanu są gongi. Największe mają po dwa metry średnicy, a mniejsze leżą uszeregowane na podstawach, w dwa rzędy, po sześć albo siedem w każdym. Poza gongami jest jeszcze saron, cymbały ze szczero-złotych płyt. Coś w rodzaju muzyki dzwonów, bo pod każdą z płyt umieszczony jest pionowo walec, wycięty z bambusu tak dobranej wielkości, że może dowolnie odbrzmiewać i potęgować dźwięk płytki. Dalej idzie instrument w rodzaju ksylofonu. Jest to długa ławeczka, a na niej luźno przymocowane deseczki bambusowe, w których uderza się artystyczną pałeczką. W środku kwadratu zajętego przez te instrumenty siedział mistrz orkiestry, skrzypek, grający na „rebab", t. j. na skrzypcach arabskich, z komorą w kształcie serca. Zespół uzupełnia jeszcze kendang — bęben, którego jedna strona jest mniejsza od drugiej, tak, że gdy muzykant jednocześnie uderzy z obu stron, to bęben wyda dwa tony.



Czesław Mystkowski.

— Czy „gamelan", to muzyka samoistna, czy tylko ilustrująca?

— Gamelan gra przy opowieściach bohaterskich. Wtedy, gdy byłem w pałacu sułtana, wkrótce po przyjściu muzykantów, wszedł dalang, taki jawajski homeryda, opowiadacz poematu. Muzyka towarzyszy jego opowieści, a tancerze odtwarzają akcję. Tancerze, ubrani w rytualne szaty ze złotemi skrzydłami, zjawili się, jak duchy i czekali na pierwsze słowo dalanga. Byli to młodzieńcy, od dzieciństwa kształceni w sztuce tańca, a wśród nich specjalnie przyuczani do ról niewieścich, ćwiczeni w naśladowaniu głosu i ruchów kobiecych. W pałacu sułtana tancerze nie mogą występować razem z tancerkami, bo są niemi córki i żony władcy. Nigdzie poza pałacem nie tańczą prześlicznego tańca dziewic „serimpi". Ujrzeć go — to niezwykła łaska. Zaś taniec żon sułtana nazywa się „badoja".

— Taniec mężczyzn ma chyba jakiś odmienny charakter?

— Tak, jest tańcem bohaterskim, tańcem walki. Tancerze udają walkę legendarnych bohaterów i zmagania demonów. W szczytowych momentach dalang uderza w blachę, wiszącą koło niego, która wydaje przejmujący jęk.

— Pewno pan wykorzystał malarsko wizytę w Djokji?

— Musiałem wykorzystać. Malowałem książąt - tancerzy, nie mogłem przecież oprzeć się urokowi tego świata. Zresztą — po to tam jechałem, żeby móc to malować.

— Właśnie. Tu jest jądro sprawy. Dlaczego pan musiał jechać na Jawę. Czy chodziło panu o temat? Przecież nie temat stanowi o wartości dzieła malarskiego, ale kompozycja, harmonja barw, rysunek. Przecież malował pan typy rybaków z Bretanji i normandzkie miasteczka. Czemu pan zamienił to na egzotykę?

— Trudno wytłumaczyć. Chyba przez porównanie mi się uda. Widzi pan, kobietę kocha się, kiedy się bardzo człowiekowi spodoba, tak, że to już wszystko dla niej można zrobić. Gdy się trafi na taką, to nie można nie zakochać się. Tak samo z malarstwem. Musi mnie coś schwytać, jak miłość. Patrzę — krajobraz, tyle światła, tyle barw, i wtedy nie to, że chcę, ale muszę malować. Pędzel sam mi chodzi w ręku.

— To znaczy, że np. fragmenty urbanistyczne, czy krajobraz europejski nie dawały panu dostatecznej podniety artystycznej...

— Nie wiem, czy dobrze mnie pan rozumie. Ja nie chcę malować szarzyzny, o — pokazał na okno — tych brudnych domów. W tem drzewie, co tam rośnie niema dla mnie nic pięknego, a palmy, czy las bambusowy, wyglądający, jak kolumnada wspierająca niebo, muszę malować. Tak samo, jak muszę kochać tę a nie inną kobietę.

—Więc czy w Polsce będzie pan teraz malował?

— Będę. Tylko pojadę do lasu. Będę malował świerki, albo dęby, albo brzozy. Bo to jest żywe. Przyroda. Ja zresztą zaraz panu pokażę...

I zabraliśmy się do rozpakowywania paki z akwarelami.